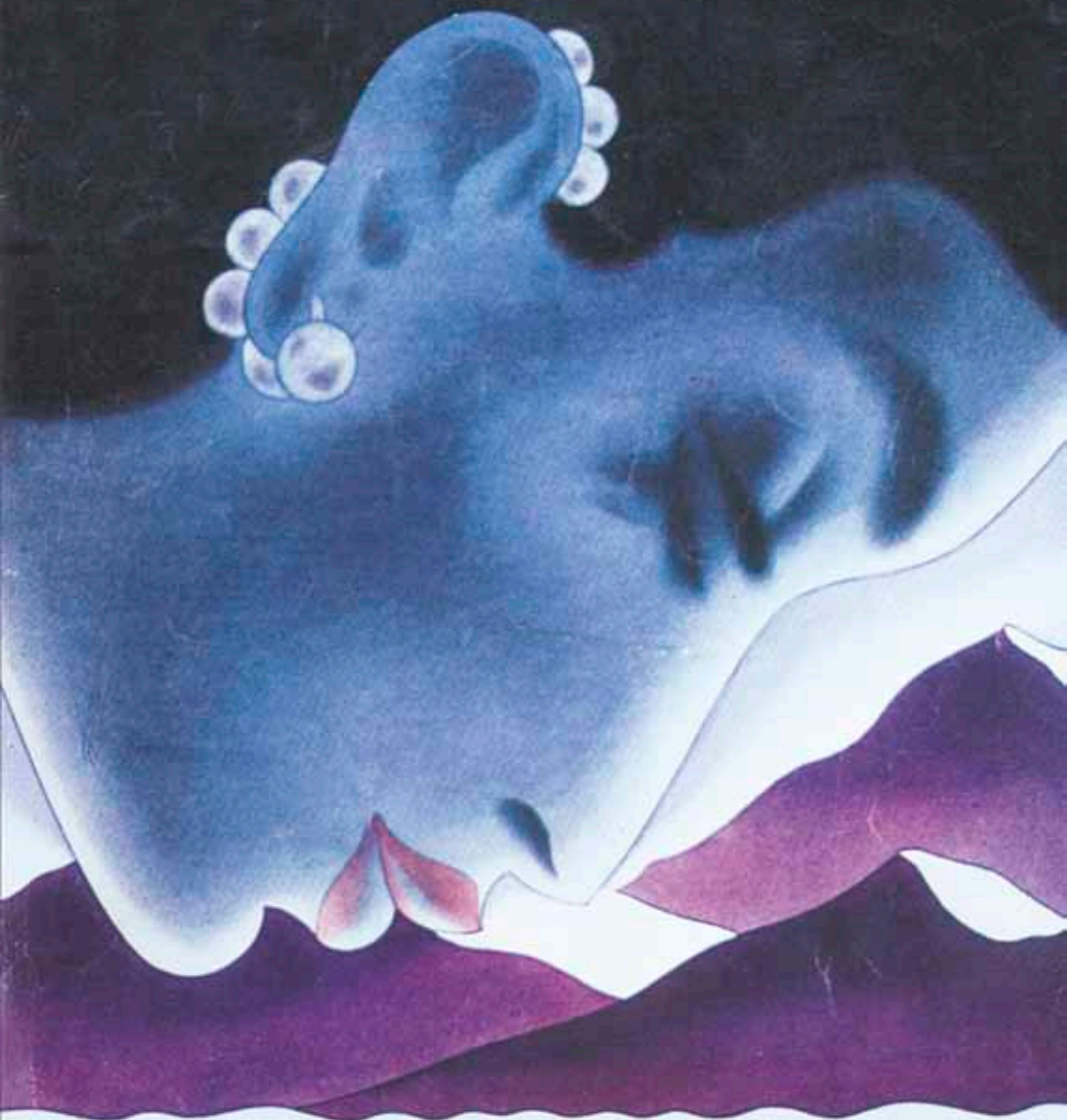


Zusman Segalowicz



Noce krymskie

Noce krymskie

Zusman Segalowicz

Noce krymskie

nowele

Przełożyła
Rachela Auerbach

Posłowie
Karolina Szymaniak

Wydawnictwo Austeria
Kraków Budapeszt 2010

KOMNATA MIŁOŚCI

I

Stary sługa okazałej willi „Jaskółcze gniazdo” jest dziś niespokojny.

Na górne piętro, do ładnego, narożnego pokoju z dwoma balkonami, ozdobionymi smukłymi, białymi kolumnami i doniczkami różnych kwiatów – wprowadził się znowu młody gość.

Zdaniem starego, młodzi ludzie nie powinni mieszkać w tym pokoju. Przez cały rok był on zajęty przez wiekowe małżeństwo, taką sobie cichą, siwą parkę staruszków, którym się nic nie przytrafiło, i stary sługa był spokojny.

Stary pilnował bramy, zapisywał i wypisywał gości, zamawiał dla nich konie do spaceru i inne załatwiał sprawunki. Znał wszystkie ich kaprysy i rozumiał bez słów każde ich skinienie. W ciągu długiego życia napatrzył się na różne rzeczy. Widział wielu zakochanych i wielu zrozpaczonych... Ale co roku na nowo zakwita winna latorośl i co roku więdną kwiaty...

Niekiedy wydaje się staremu, że słyszał już wszystkie pieśni świata i rozumie wszystkie namiętności ludzkie. Przez małe

okienko w swoim kącie korytarza patrzy na szare morze, które na niego wzajemnie spogląda, i wówczas ciche myśli o znikomości wszechrzeczy rodzą się i zamierają w starej głowie.

Tylko ten pokój z szerokim balkonem, ten balkon o białych kolumnach.

Młodzi ludzie nie powinni przebywać w tym pokoju, bo...

Stary usłyszał nagle dzwonek i biegnie, by zajrzeć, kto go wzywa.

Ha, ha, to nowy gość dzwoni...

Nowy gość jest mężczyzną eleganckim, małomównym, o szarych, poważnych i nieco złych oczach; jeden z tych, na których człowiek się patrzy i jak gdyby się ich trochę lęka. Oczy jego nigdy się nie uśmiechają. Włosy na skroniach ma przyprószone siwizną, ale staro nie wygląda. Ruchy jego są spokojne, ale nie zmęczone. W pokoju stoi kilka małych walizek. Walizki są otwarte i różne rzeczy są już stamtąd powymowane. Parę książek, parę gazet, rozrzuconych w nieładzie.

Nowy gość z szarymi, zimnymi oczyma stoi u otwartego okna, spogląda na morze – i jakieś dziwne tu zachodzi podobieństwo... Jego oczy i morze... Minuty upływają, zanim odwraca się od okna.

Stary stoi przed nim i czeka na zlecenia.

– Okna niechaj zawsze będą otwarte.

– Proszę bardzo!

– Na stole niechaj zawsze stoi wino! Lubię pić przed snaniem.

– Proszę bardzo!

– Wyszukajcie mi Tatara z dobrym koniem. Wynajmę go na całe lato.

– Proszę.

Właściwie stary może już odejść, ale nie rusza się z miejsca. Patrzy na nowego gościa.

– Dlaczego mi się tak przypatrujecie?

– Cieszy mnie, że pan jest tu sam, bez kobiety.

– Co? Skąd wam to do głowy przyszło?

– Panie kochany. To przeklęty pokój. Tyle okropnych rzeczy się już tutaj przydarzyło.

– Nie rozumiem, mówcie wyraźniej!

I stary snuć zaczyna opowieść o minionych wydarzeniach.

– Przed pięć laty mieszkała w tym pokoju młoda para, dwoje rozkochanych młodych ludzi, jak para motyli...

Patrzono na nich z zazdrością. Gdy przechodzili, oglądano się za nimi. Miało się ochotę zabiec im drogę i kwiaty ślać pod ich stopy. Ona miała takie wąskie, białe dłonie, które on wciąż całował, i oczy dziecka, w które on się ciągle wpatrywał.

Tu, do tego samego pokoju, wnosiłem codziennie świeże kwiaty, a zwiędłe wyrzucałem do morza. Tu, u białej balustrady, stawała ona często, wpatrując się w morską dal, a on zakradał się i składał pocałunek na jej wąskich, odsłoniętych barkach... Tak, to była miłość niezwykła.

Aż pewnej burzliwej nocy, gdy fale dosięgły naszej willi i walić jęły o jej fundament, a wicher miotał się, jakby roznieść chciał na kawałki cały budynek – w taką noc kochankowie rzucili się przez okno do morza... Któż może wiedzieć, dlaczego to uczynili? Może z nadmiaru miłości... Szaleńcy! Później przyjechała tu inna para. Ci przebywali dużo w towarzystwie, bawili się i tańczyli na równi ze wszystkimi. Pewnego razu wrócili wśród nocy do domu, weszli do siebie, do tego pokoju, i wkrótce usłyszano kilka strzałów.

Piękna noc była wówczas, szalona noc. Nie inaczej, tylko ta para musiała zmysły postradać.

Przez długi czas pokój był zupełnie zamknięty, póki nie zapomniano o nieszczęściach. Jak pan jednak widzi, jest tu bardzo ładnie, jest to najlepszy pokój w całej naszej willi. Morze wydaje się stąd jaśniejsze, fale sięgają aż do muru i skaczą u jego podnóża, jak wesołe diabełki.

Każdy, więc proszę pana, chciałby mieszkać w tym pokoju, każdego coś tu wabi. Ja sam lubię sobie tutaj postać czasem i podumać... O czym? Sam nie wiem, ale takie słodkie i czarowne myśli przychodzą tu człowiekowi do głowy...

Więc znowu otworzono ten pokój...

Przed niespełna dwoma laty wydarzyło się nowe nieszczęście; mieszkał tu młody skrzypek o kędzierzawej czuprynie i wiecznie śmiejących się oczach. Dziewczęta lepiły się do niego, jak do miodu, a on wybrał sobie jedną, córkę moskiewskiego milionera. Panna ta nic sobie nie robiła z wielu rzeczy, które innym ludziom są bardzo drogie. A kto ich tam zresztą wie, wykształconych ludzi! Dostyc, że tych dwoje naniósł pełny pokój kwiatów, zamknęło drzwi i okna i tak usnęło na wieki, trzymając się w objęciach.

Kto ich tam wie, szaleńców!

Dlatego też tak długo byłem spokojny, jak długo mieszkała tu para staruszków. Czy pan mnie rozumie, mój panie kochany?

– Tak jest, rozumiem, ale bądźcie spokojni zdaje się, że ja będę tu sam jeden...

Stary sługa wyszedł.

Na schodach westchnął...

– Nowy młody gość ma takie zimne, prawie złe oczy. Człowiek o takich oczach nie ulega czarowi miłości.

I znowu stary stał w swoim kąciaku korytarza, oczekując dzwonka i gotów do spełnienia cudzych życzeń.

II

Upłynęło kilka dni. Hotel, pełen gości, kipiał życiem, morze uderzało miarowo o podnóże skały, na której stała willa „Jaskółcze gniazdo”, a gdy przycichało na moment, słychać było śmiechy i śpiew. Wątki i niemocny jest głos ludzki wobec głosu przyrody, ale gdy przyroda słyszeć zapagnie człowieka, wówczas ucisza wszystkie wiatry i morzu milczenie nakazuje... Ktoś gra na fortepianie i pełne akordy sączą się z wolna w ciszę przedwieczorną.

Z gór na morze spęta mrok, ale fale nie poddają się jeszcze spoczynkowi i ciemności. Skupiają się w szeregi i zastępami całymi napierają na wybrzeże, szcękając kamykami. Kamyki chrzęszczą, jakby tysiąc gęb orzechy chrupało. Potem nadbiega wiatr z przeciwnej strony i cofa fale wstecz na stosowniejszą chwilę. Cisza zalega świat od nieba po ziemię, od willi po góry...

Gdzieś odezwał się świerszcz i piłować zaczyna powietrze swoim monotonnym ćwierkaniem. Jest to jakby umówiony sygnał zakochanych. Gdyby ktoś spojrział z góry, z nieba lub wierzchołka gór, mniemałby zapewne, że na ziemi wszyscy śpią. Tylko cienie snują się wszędzie, podsłuchują wszystkie tajemnice, i tylko im wiadome są miejsca, gdzie kryją się zakochani.

W dzień w pensjonacie gwar. Goście biegają na plażę, grają w tenisa, otrząsają z drzew dojrzałe brzoskwinie. Inni znowu, zmęczeni skwarem słonecznym, wpadają do koszykowych ka-

biniek kąpielowych na wybrzeżu i śpią tam, póki nie rozlegnie się gong, wzywający na obiad...

Nowy gość z górnego piętra kręci się po swoim pokoju, niby pszczoła w sieci z kwiatów.

Przed oczyma jego ogrom morza. Żagiel z daleka i żagiel z bliska. Gdy spojrzy w dół z balkonu, widzi na fali swój niewyraźny cień. Z drugiego balkonu widać góry, majaczące w liliowych odblaskach. Wierzchołki cyprysów, biało-szarych magnolii i smukłych minerałów pną się ku niebu w świętym milczeniu.

Kamienne ściany budynku oplecione są setkami, tysiącami kwitnących róż. Wszyscy goście pensjonatu znajdują się w ogrodzie, po drugiej stronie domu, ale tu, wśród skał przybrzeżnych pływa w swej łupince stary rybak Raim, który wiecznie przebywa na morzu. Raim posiada tylko jedno oko, ale widzi bystro, niby morski ptak, a każdą zmianę pogody wyczuwa o parę dni wcześniej.

Małe wgłębienie pod willą stanowi jego ulubiony zakątek. W dnie spokojne, zarówno jak burzliwe – stale się tu krząta ze swoimi sieciami.

Pan z feralnego pokoju przechadza się z jednego balkonu na drugi i rozmyśla. Zdaje się, że kogoś oczekuje.

Kim on jest? Przyjechał człowiek, milczy lub mówi, kłania się i oddaje ukłony, to przesiaduje wraz ze wszystkimi, to znowu na całe dnie przepada w górach.

Każdy człowiek nosi w sobie swoją przeszłość, swoje „wczoraj”, niby tajemnicę. Bywa taki, który wszystko wypapla, inny zaś zamyka się w sobie i prędkiej kamień z dna morskiego wydobędziesz, aniżeli słowo z jego serca; będzie z tobą mówił

o polityce, o pogodzie, o tym, że zimno dziś było kąpać się, że moskit go ukąsił...

Ale kim jest? Co go tu przywiodło i dlaczego stoi często po kilka godzin na balkonie, mówiąc sam do siebie? Czyż nie-me fale łaskawsze są i bardziej godne zaufania od ludzi? Czyż mogą dać mu ukojenie głuche ściany jego pokoju?

Mężczyzna o szarych oczach zaciekawiał wszystkich...

Pewnego razu, gdy wracał z kąpieli, stary sługa powitał go z markotną twarzą.

– Jakaś pani przyjechała do pana. Jakaś pani. Czeką na górze. Siedzi w pokoju pana i pije pańskie wino...

Szare oczy rozszerzyły się nieco. Tylko na jedną chwilę.

Przerwał służącemu:

– Wy pilnujcie swoich spraw, a nie gadajcie tego, o co nikt was nie pyta.

W pokoju jego czekała młoda kobieta średniego wzrostu, o twarzyczce gładkiej i puszystej, jak brzoskwinia. W wygładzie jej było dużo dzieciennego jeszcze wdzięku, tylko oczy miała dojrzałe, mądre i stanowcze.

– Nie dziwisz się, co? Ty nigdy się nie dziwisz. Przyjechałam i na tym koniec.

– Niech tak będzie – odrzekł. – Tutaj jest bardzo pięknie, więc dobrze, że jesteś tu... Ale, ale, jakże to się zdecydowałaś?

Kobieta zaśmiała się i zaczęła opowiadać:

– Jak długo byłeś w mieście, nietrudno mi było mówić „nie”, ale gdy odjechałeś, spostrzegłam dopiero wówczas, czego mi brak i – jak tam ty powiadasz: człowiek żyje życie całe dla jednego momentu. Dopiero w tym jednym momencie okazuje się, kim jest naprawdę.

Jano...

Okazało się to także i co do mnie. Pojmujesz przecież i wiesz, że pod wszystkimi naszymi uszlachetnionymi obyczajami, pod modnym ubiorem kryje się jeszcze dusza cygana.

Jestem twoja...

Mężczyzna podszedł do niej, pogłaskał ją po głowie, a kobieta zadrżała ze szczęścia pod jego dotknięciem.

– Bałam się twojej siły i teraz się boję, ale odejść od ciebie nie mogę... poddaję się...

III

Słońce za dnia i słońce o zachodzie. Słowa miłości śmiałe a ciche, tajemne. Długie godziny rozmowy, wspomnień, i minuty niemego milczenia.

Kwiaty wplatały się same w jego ramiona. Nikt im nie przeszkadzał. Każdy posiadał to samo, w te dni dojrzałych winogron i soczystych brzoskwiń.

Tylko stary posługacz „Jaskółczego gniazda” śledził ich niepokojnym spojrzeniem...

A morze czyniło swoje: niekiedy stawało się całkiem gładkie, jak aksamit, to znowu mieszać zaczynało i wałkować swoje wody aż do dna. Roztopionym srebrem kipiała topiel i pieniała się i ciskała siwymi warkoczami, łańcuchami, stosami całymi klejnotów...

Zakochana kobieta krzyczała z radości do mew, do fal, a pewnego razu wołać zaczęła Raima, który żeglował wśród skał w swoim czółenku i porał się koło swoich sieci.

– Raim, Raim, posłuchaj tylko.

– Czego hrabina sobie życzy? (Wszystkich gości z wielkich miast tytułuje Raim hrabinami).

– Raim – zapytała kobieta. – Powiedz mi, po co Pan Bóg stworzył świat?

– Aby łowić ryby – odrzekł z dołu Raim. Kobieta wybuchnęła śmiechem.

– Takiś stary, a nie wiesz. Bóg stworzył świat dla miłości. Po to, by ludzie się kochali.

Raim odciął się żartem.

– Ech, dawnośmy to już zjedli.

I łódka jego płynie dalej, omijając po drodze szpiczaste skały, sterczące pod wodą. Za chwilę sylwetka jego majączy już gdzieś daleko, na pełnym morzu, a stamtąd napływają coraz nowe fale i pędzą z rozmachem na skały.

IV

Mężczyzna o szarych oczach opuścił willę „Jaskólcze gniazdo”. Wyjechał pod wieczór. Stary sługa wyprowadził go i długo za nim spoglądał.

Kobieta pozostała sama w pięknym pokoju. Nazajutrz przy śniadaniu pojawiła się milcząca, z zaciśniętymi ustami.

Co zaszło między obojgiem zakochanych? Co ich złączyło i co ich ze sobą poróżniło?

We wszystkich oczach, patrzących na opuszczoną kobietę, widniało to pytanie.

A ona milczała.

Wino w jej kieliszku pozostało niedopite. Jadła bardzo mało i nie wyrzekła do niego ani słowa.

Dookoła niej poszeptywano: przecież musiało coś zająć między tą parą.

Następnie przesiedziała tak parę dni na górze, w swoim pokoju, i patrzyła, wciąż patrzyła na morze. Zaś morze pienilo się i połykało całe kawały nieba, białe obłoki i strzępy błękitu, przetykane migotem promieni. Mięsiło i wałkowało wody swoje, jak zazwyczaj... Dla kogóż to morze pełni swoją nieskończoną, beużyteczną robotę? Dla kogo się tak trzodzi dzień i noc? Wiecznie szumi, wiecznie się pieni.

Czym jest cierpienie? Ból i niepokój duszy? Wydaje się, jakby każda fala wybijała takt do ciszy i kazała milczeć, milczeć...

Nagle jedna fala odrywa się od drugiej i zaczyna się taniec, dziki taniec fal. Bez końca, bez początku. Górom sądzona jest wieczna nieruchomość, niebiosom sądzone milczenie, a morzu – wieczyste igraszki, skoki, taniec, niepokój. Morze – ruch odwieczny.

O zachodzie, wokoło na górach zawisły skrwawione obłoki. Krwawą czerwienią zalewa się morze. Okna willi zapalają się czerwoną łuną...

Płonie pożar. Dzień, który nigdy już nie wróci, odprawia swe majestatyczne pożegnanie z ziemią, i wydaje się, jak gdyby fale i obłoki usiłowały go dopędzić, pożegnać się raz jeszcze. Stary, jak świat, smutek zasnuwa wszystko, a ludzka dusza staje się miększa i stęskniona, jak opuszczone dziecko.

Ktoś zanucił. Ktoś inny błąka się wśród skał. Zakochani ukrywają się ze swoją miłością, a opuszczeni wspominają minione dni.

Rybak Raim wlecze swoje sieci i spogląda w dal, usiłując wywęszyć wiatr jutrzejszy.

Chwilami podnosi wzrok i wpatruje się w płonące szyby willi „Jaskółcze gniazdo”.

I nagle...

Od jednego z okien odrywa się coś białego i spada w dół. Kobieta w białej sukni. Raim spieszy co tchu ze swą łódką bliżej wybrzeża. Nadbiegają inni.

To ona, ta, która lubiła żartować. Skoczyła do morza.

Spadła na skały i roztrzaskała się. Kamienie opryskane są krwią, i łódka Raima jest skrwawiona, gdy dobija do brzegu i składa zwłoki na piasku.

Mężczyźni milczą. Kobiety płaczą i mdleją. Zaczynają mówić o feralnym pokoju, o zaklętej komnacie miłości.

A wielkie morze, niebo, góry – jak wzniosłe teraz milczą! Nie obchodzą ich ani trochę smutne sprawy drobnych żyjątek ludzkich, które stoją, zdjęte niemocą, nad martwymi zwłokami jednego spośród siebie.

Nazajutrz po południu przyjechała komisja z Sewastopola. Weszli do pokoju, z którego kobieta skoczyła do morza.

We flakonach na pół zwiędłe kwiaty. Otwarta książka leży na stoliku, a wiatr obraca kartki według swojego upodobania...

Młody prokurator ogląda wszystko skrupulatnie. Podeszedł do okna, z którego wyskoczyła kobieta, a gdy ujrzał szerokie, nieskończone morze i ogrom przestrzeni, cichy smutek, wionący stamtąd, i pierwszą gwiazdę, wnioskującą w głąb duszy i budzącą rzewną tęsknotę, wówczas z piersi prokuratora wyrwał się krótki okrzyk:

– Tak jest, tu można kochać lub... umrzeć.